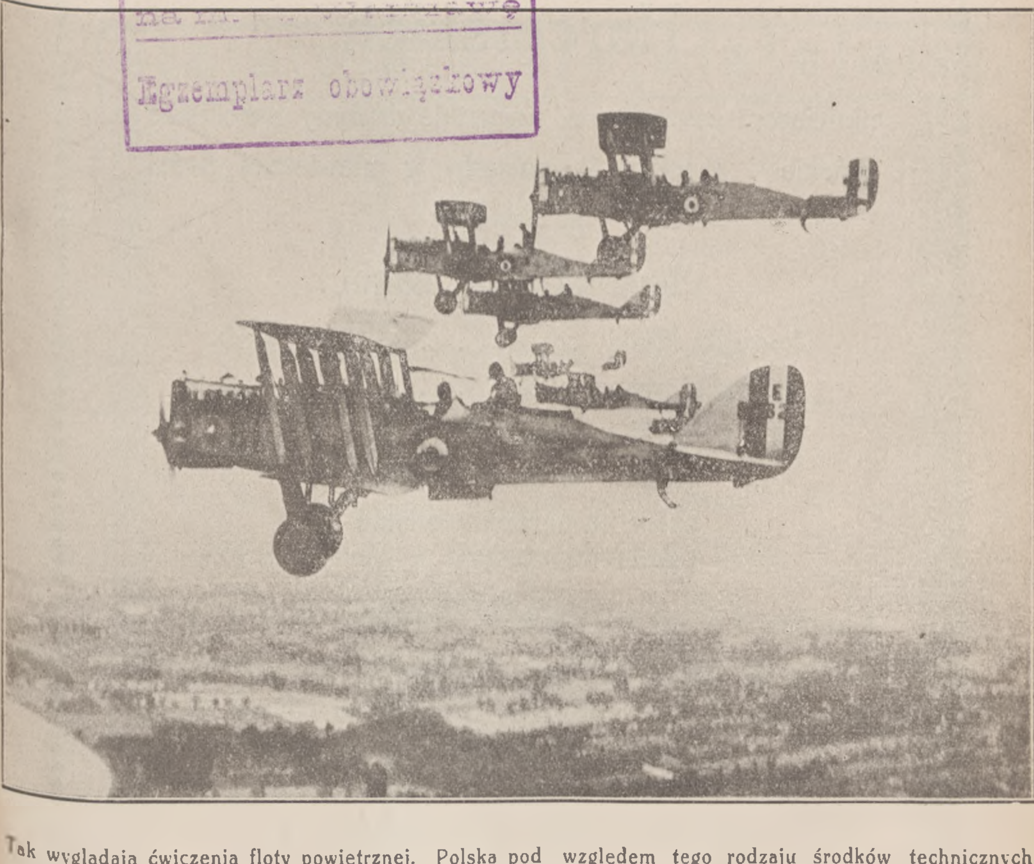
Rok VI. Nr. 4.

H·A·R·C·E·R·Z



Tak wyglądają ćwiczenia floty powietrznej. Polska pod względem tego rodzaju środków technicznych należy do najuboższych, najbardziej upośledzonych krajów. Nie myślcie, że brak nam tylko tej, ktora śmierć niesie i zniszczenie wrogowi. Takiej, zapewne nigdy mieć nie będziemy. Ale to gorsze, że nie mamy *prawie wcale* floty, którаby naszych granic broniła nie mamy *zupełnie* aparatów dla odpędzania tych, którzy powietrzną drogą na nas zechcą napadać. Nie mamy też kompletnie środków pasażerskich, a te które są, należą do Francji, Rumunji i... Niemiec. Ani handlowej, ani pasażerskiej, ani wojennej floty niema nasze Państwo. Ale — to dziś. Co będzie jutro?

III. Harcerz jest pożyteczny i niesie pomoc bliźnim.

Ten obowiązek ma spełniać z największym nakładem sił, poświęceniem, bez względu na swoją wygodę lub korzyść, nawet na bezpieczeństwo.

W niepewności, co w danej chwili wykonać, zapyta harcerz samego siebie, co lepsze dla innych? i to, jako obowiązek, wykona.

Harcerz szuka skrzętnie sposobności, by codziennie wyświadczyć komuś choćby drobną przysługę.

Tak brzmi nasze trzecie prawo harcerskie. Zrozumieć je nietrudno temu, kto Chrystusową zna naukę, kto wczuł się w jej głębię, kto ogrzał się jej ciepłem, kogo olśnił jej blask.

Zrozumie z pewnością prawo miłości bliźniego każdy, kto zgłębiał przeszłości naszej jasne, wspaniałe karty.

To prawda — jeszcze nie staliśmy nigdy na tych wyżynach, by jako naród: miłować nieprzyjacioły, ale przez wieki całe my — jeśli nie jedni, to w każdym razie z pośród nielicznych darzyliśmy uczuciem miłości i na niem opartemi czynami tych, którzy z nami i obok nas i wśród nas żyli.

A dziś?

Nie patrzmy na sąsiadów swoich i na bliźnich najbliższych, ani poza morzami szukajmy ludów i narodów, by ich sądzić i wyroki wydawać. Nie starajmy się porównywać: ten tak robi, ja tak.

Spójrzmy w głąb duszy naszej i zapytajmy siebie: czy wrył nam się głęboko nakaz miłości bliźniego, ale nie tej miłości, która wargami jeno powtarza bez końca obietnice i gotowość do ofiar — czy wryła nam się głęboko, czy przeżarła do szczętu nasze wady i zawiści i zazdrości ta świetlana zasada: kochaj bliźniego swego, jak siebie samego.

Ale — spytajcie się siebie: Czy kochając, naprawdę kochając Polskę, kochacie też ludność tej Polski?

Przypomnijcie sobie zachowanie w tramwaju, w pociągu, chętną pomoc i ofiarę, składaną z radością dla najbliższych — dla innych Polaków, dla innych Polek. Stosunek do innych zastępów i drużyn. Naprzód w tem bądźmy bez zarzutu!

— — — — — — — — —

Zresztą czy trzeba długo o tem mówić?

Uczmy się miłości bliźniego, aby nas nawzajem miłowano, aby jasno było na świecie, wesoło i dobrze.

Umiemy pokochać martwą i żywą przyrodę.

Potrafimy też siać najwznioślejsze uczucia wokół siebie i otaczać serdeczną troską, z miłości płynącą, swych najbliższych i bliźnich i tych którzy dalej, dalej stoją, a może z czasem i tych, którzy przeciw nam idą.

Ale zacząć trzeba od odpowiedzi na pytanie:

Czy każdy mój czyn, każda moja twórcza myśl stwierdza, iż pragnę sobie dobrze uczynić, iż pragnę siebie wyżej, coraz wyżej moralnie podnosić!

Bo tylko ten bliźnich miłować potrafi, który ma skarby do dania, który ma ciepło, aby niem ogrzać.

A jak uczynicie to, jeśli nie zbierzecie tych skarbów?

T. U.

Kto dla siebie pracuje.

Kto dla siebie pracuje, ten siły utraca,
Rąk jego, jego ramion znikoma jest praca,
A wicher czasu, lecąc szeroko po świecie,
Przędzę ową pajęczą uniesie i zmiecie.

Kto dla braci pracuje, ma moc za miljony,
Rośnie w siłę, jak olbrzym pod niebo wzniesiony,
Czas mu cegły podaje, utrwala budowę,
I kładzie na jej szczycie swe piętno wiekowe.

Marja Konopnicka.

MARZENIE...

Zastępowa! to słowo zelektryzowało mię od pierwszej chwili mojego wstąpienia do harcerstwa. Po próbie czekałam i ja chwili, kiedy z ust dh. drużynowej usłyszę zdanie: „Masz zastęp; pracuj dla niego gorliwie“. I niedługo czekałam, bo w kilkanaście miesięcy po mojem wstąpieniu, doczekałam się tego pola pracy. Dotychczas należałam do harcerstwa, nie zastanawiając się nad swoją przyszłością, ani pracą, którą mam podjąć teraz. Słowo „zastępowa“ było dopiero tem czarodziejskiem zaklęciem, które sprawiło, że w duszy mojej poczęły budzić się nowe myśli. W wyobraźni mej tworzyły się coraz to inne obrazy. W ślad za tem, jak myśli moje coraz to inaczej układały się, poczęłam powoli odrywać się od życia codziennego, szarego i utonęłam w słodkich marzeniach...

...Zobaczyłam się hen daleko, w nieznanych mi zupełnie stronach. Była to wioska mała, zaciszna, otoczona lasami. Siedziałam na ławce pod małą wiejską szkółką. U stóp mych kłaniały się lekko łany zbóż. Zdala dochodził majestatyczny pogwar rozmodlonych drzew. Na niebie gasły ostatnie blaski zachodu. Powietrze przesiąknięte było upajającą wonią ziół i dojrzałego zboża. Jak okiem sięgnąć wszędzie było cicho i pusto,

tylko dokoła mnie ciśnie się gromadka o jasnych, lnianych główkach, wlepiając we mnie ciekawie swe oczy, słuchając z zapartym oddechem historji powstania harcerstwa, jego organizacji i praw harcerskich. Na twarzach daje się zauważyć ogromne skupienie i zainteresowanie. Pod wpływem mych słów budzą się w ich duszach nowe, nieznane im dotychczas uczucia i pragnienia. Patrząc na te dzieci, obserwując bacznie rozbudzanie się ich uśpionych, szlachetnych instynktów, uczuwam w sercu coś na kształt dumy, staję się niejako władczynią ich dusz. Wiem, że odemnie w wielkiej mierze zeleży, jakimi ludźmi będą te dzieci w przyszłości. Wielka odpowiedzialność ciąży na harcerce—nauczycielce, jako wychowawczyni przyszłych pokoleń. Chciałabym już dziś stanąć w szeregi tych pilnych pracownic na polu oświaty. Jakże cudną wydaje mi się ta moja przyszła praca, opromieniona miłością idei, jak rozkoszne te trudy, ten olbrzymi ciężar odpowiedzialności za wykuwanie charakterów mężnych, za rozjaśnienie dobrych dusz!

Z. Maladzianka.

GILLWELL i WEMBLEY

Tego lata na wszechbrytyjskiej wystawie w Wembley w pawilonie rządowym widziałem wielką plastyczną mapę świata. Jest ona umieszczona w obszernym hallu, gdzie panuje półmrok; po chwili wpatrzenia się widać, że po morzach i oceanach—snują się małe, oświetlone okręciki, prując śmiało wodę. Szlaki owe świetliste łączą jakby siatką nerwów Anglję z kolonjami i na tym całym globie ziemskim, leżącym przed nami, wszędzie, na każdej jego części są rozrzucone Dominja Angielskie. Można śledzić bogactwa przyrody, patrząc na stan posiadania angielski. I temi szlakami wodnemi, niby mocnemi cuglami, trzyma Londyn pół świata w swym ręku.

Przypomniał mi się ten obraz, gdy o 5-ej godzinie zasiedliśmy wszyscy w jadalni w Gillwell Parku: stanowiliśmy wspólnie prawie cały komplet międzynarodowy, a więc: Anglja, Australja, Egipt, Jamajka, Chili, Indja, Japonja,Burma,Jugosławia, Rosja (Paryż), Uganda, Złoty Brzeg i Polska—wszyscy byliśmy tam złączeni jedną myślą wielkiego człowieka.

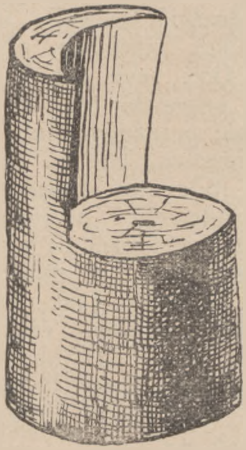
I ci ludzie, około których mogliśmy skądinąd przejść obojętnie, dziś byli nam bliscy, łączyło nas to samo umiłowanie idei, tosamo poświęcenie dla pracy dla bliźnich, łączył nas ten sam znak lilji, co ten cel i charakter braterstwa oznaczał.

I jak tam w Wembley, tak i tu Anglja promieniuje nie tylko na swe dominja, lecz i na kraje sąsiednie. I tak, jak tam okręty z dalekich krain, wożą surowce, aby je później w świat wywieść przerobione, tak i tu przyjeżdża materjał surowy jeszcze, aby się wyszkolić i wrócić do siebie dla pracy i pożytku. Ognisko centralne, rozsyłające setki instruktorów corocznie, to jest Gillwell — i ci wszyscy, którzy potem, po ukończeniu zostają przyjąci do I Drużyny Gillwell'owskiej, to będą ludzie związani mocno—tylko że tam interes materjalny jest głównym motorem tej wymiany, a tu interes natury moralnej — związek życia braterskiego wśród różnych narodów.

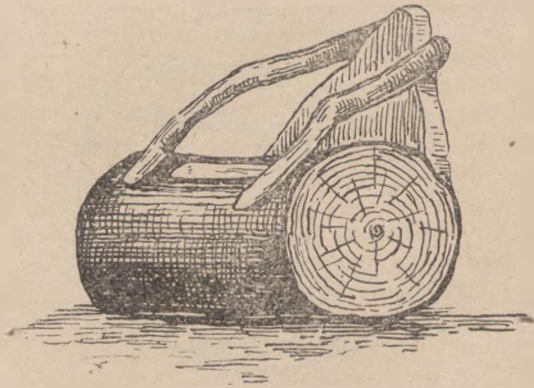
Ciekawy naprawdę był ten nasz zespół młody, siedzący wokół stołu, zastawionego obficie podwieczorkową herbatą z bułeczkami i wielką ilością słodyczy.

Z każdej strony siedziała inna narodowość, inny typ — lecz wszyscy

weseli, ożywieni, beztroscy. Panowała tam naprawdę bardzo miła atmosfera. Oglądało się swego sąsiada z zaciekawieniem, bo prawie każdy był dalekim przybyszem. Australczyk wciąż myślał o mnie; zgromadził paru swych kolegów i prowadziliśmy wesołą, pełną mimiki i komizmu rozmowę.



Potem pod kierunkiem Mr. Wilsona obeszliśmy cały nasz teren — składał się, jak już wspomniałem, z dworku, otoczonego starym parkiem, o sto kroków dalej znajdowała się polana, na środku ognisko w czworoboku z wielkich brewion, jak w ramce, a wokoło pnie i fotele, gdzie wieczorem wszyscy zasiadaliśmy (patrz rys.). Koło ogniska maszt, a na krańcach cztery namioty 10-osobowe, to było miejsce I Drużyny — opodal, za drogą na większej polanie była druga drużyna. Obeszliśmy wszystko wokoło, dziwiąc się wielkiej prostocie, a jednocześnie wielkiemu gustowi urządzenia. Były tam ławki z pni drzewnych, tak ustawione, aby się miało ładny widok przed oczami, były domki, altanki na jadalnie, wszędzie różne ozdoby, muszle i t. p. W czasie drogi Mr. Wilson opowiadał różne kawały; początkowo myślałem, że są to zbyt trudne rzeczy, abym zgłębił cały dowcip, bo moi współtowarzysze zanosili się przy każdem opowiadaniu homerycznym śmiechem — dopiero później, gdy bliżej ich poznałem, przekonałem się, że są oni bardzo skorzy do śmiechu i niewiele trzeba, żeby ich do wesołości pobudzić. Zakończyliśmy swą wedrówkę na polanie przed namiotami. Wywołano pierwszych zastępowych, a potem po kolei wywoływano nas wszystkich. Stawał jeden za drugim, ciekawie oglądając od stóp do głów swego najbliższego sąsiada. Stałem pomiędzy Anglikiem rover scout'em (starszy skaut), a skautem z Indyj, szkolnym profesorem — było nas dziesięciu, przeważali Australczycy. Rozeszliśmy się do namiotów — były już tam przygotowane sienniki, koce, rondle i paki, w których były barwy zastępu, śpiewniki, chustki, oznaki zastępowego i zastępcy, linki, świece, i inne drobiazgi kuchenne — wszystko podług spisu. Poczęliśmy się rozkwaterowywać. Pierwsza czynność, to przygotowanie kuchni, wymycie stat-



ków i zrobienie udogodnień obozowych, bo za to jutro przy inspekcji będą kreski, trzeba było się spieszyć, bo jeszcze kolacja w domu, a o 8.30 pierwsze ognisko. Wielki ogień płonął, rozniecony przez dyżurny zastęp zawczasu. Zasiedliśmy wszyscy otuleni w koce, bo zimne, angielskie noce

dawały się mocno we znaki—po chwili nadszedł Mr. Wilson, lecz jak inaczej wyglądał on i jego towarzysze—mieli na sobie specjalne płaszcze, zrobione ze zszytych koców, do kostek, ciepłe pantofle; wyglądali jak dawni wróżbici pogańscy, lub kapłani zniczów. Wszyscy wstaliśmy. Zapanowała cisza.

Mr. Wilson stanął wyprostowany i wyciągnąwszy dłoń nad ogniem, obwieścił, że zapalony jest znicz obozu i z tą chwilą rada ma głos.

Ta obrzędowość robi wrażenie: cisza nocy, trzask ognia, te twarze, wyłaniające się z poświaty, a wśród nich postać naczelnika obozu, niby kapłana, błogosławiącego ognisko—wszystko to nastrojowe, tajemnicze, budzi w nas utajony głęboko instynkt człowieka leśnego, tego w dodatniem znaczeniu, tego, co czuje przyrodę i tego, co ją błogosławi.

W krótkich słowach przedstawił nam tryb życia w obozie, wyjaśnił to, czego od nas będą wymagali i to, co nam w zamian dadzą.

Były to słowa krótkie, zwięzłe; słowa czynu, czasem okraszone dowcipem.

Na rozkaz nakładamy wszyscy chustki na szyje na znak, że od tej chwili wszyscy jesteśmy szeregowcami, nie mamy żadnych naszych oznak, jesteśmy drużyną Gillwellu. O godzinie 10-ej wspólna modlitwa, chwila milczenia i God save the King, hymn narodowy angielski; jest on dla Anglików równie potężnym łącznikiem, jak idea braterstwa, bo ma swe źródło w silnie odczutej świadomej godności narodowej i przywiązania do tych, co tej godności na zewnątrz są przedstawicielami. A moje typy kolonjalne? Śpiewały. I jak tam w Wembley zwykły interes, tak tu idea braterstwa służy dla skupienia pod sztandarem Old Great Britain.

Olgierd Grzymałowski.

AEROPLANY



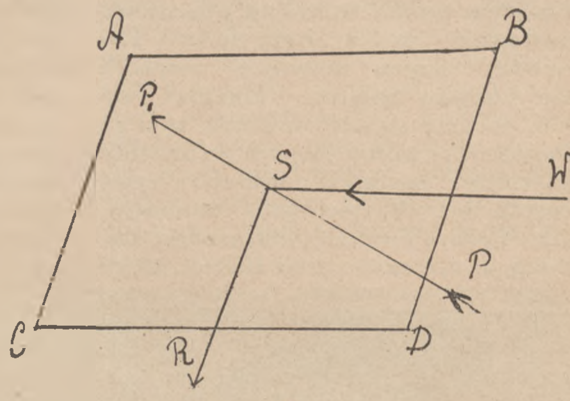
Pomimo wynalezienia balonów, problemat zupełnego opanowania powietrza nie został rozwiązany. Zauważono, że balony wymagają dużej ostrożności w kierowaniu i że ich ruch jest stosunkowo powolny, a zatem nie są dostatecznym środkiem do zawładnięcia powietrzem. Zaczęto więc przemyśliwać nad wynalezieniem innego sposobu wznoszenia się w górę, a mianowicie nad możnością latania ciał cięższych od powietrza. W tym celu zaczęto badać lot ptaków i czynić próby naśladowania go. Pomysłem tym zajmował się na długo jeszcze przed zbudowaniem pierwszego balonu genjalny malarz i poeta Leonardo da Vinci — wykonał on nawet dokładny projekt latającej maszyny, skrzydłowca, lecz śmierć przerwała mu badanie i nie wiemy, jakim rezultatem byłyby one uwieńczone. W wieku XIX zaczęto wchodzić na inną nieco drogę, to jest zaczęto opierać się na zasadzie spadochronu. Usilnie więc badano zasady lotu ptaków; doszli badacze do wniosku, że nie opiera się on jedynie na poruszaniu skrzydłami, lecz, że istnieje jeszcze inny czynnik, ułatwiający

fruwanie. Zasada, na której do pewnego stopnia opiera się lot ptaków lub wznoszenie się w górę zwykłego latawca, a wreszcie i aeroplanów jest nader prosta i łatwa do zrozumienia.

Na płaszczyznę ABCD nachyloną pod pewnym kątem do poziomu, działa poziomo siła W, np. wiatru. Płaszczyzna jest nachylona tak, że wiatr uderza w dolną jej powierzchnię. Wòwczas wiatr traci na sile, gdyż część jego ześlizguje się po powierzchni, dopiero pozostała część ciśnie na nią i podnosi ku górze. Czyli, że siła W rozkłada się na 2 siły: na równoległą R i prostopadłą P, która działa w kierunku SP, prąc na płaszczyznę wstecz i do góry.

Tak aeroplany dzięki ruchowi nadanemu przez silnik i śmigę oraz dzięki nachylonym płaszczyznom, wywołują taki opór powietrza, że siła jego przeciwdziałania, stając się większą od siły ciężkości, podnosi aeroplan w górę. Potrzebna jest do tego minimalna prędkość 120 km. na godzinę. Poznawszy tę zasadę, poczęto ją obserwować.

Budowano więc ogromne skrzydła złożone z płaszczyzn płóciennych, które służyły za płaszczyzny nośne i miały być podtrzymywane uderzeniami wiatru od spodu. W tym kierunku dużo pracował niemiecki inżynier Otto Lilienthal, który stworzył właściwie główne podstawy lotnictwa. Pierwszy jego aparat miał postać skrzydeł nietoperza; stopniowo jednak udoskonalił jego formę, przelatując już nieraz po kikaset metrów. Wzloty odbywał, spuszczając się z pewnego wzniesienia, były to t. zw. loty ześlizgowe. Lilienthal nie poprzestawał jednak na tem; rozumiejąc, że takie wzloty nie doprowadzą go daleko, pracował nad wprowadzeniem do swego aparatu steru i motoru. Niestety próby jego zostały przerwane



Rys. N 1

śmiercią, wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Idee Lilienthala podjął Amerykanin Chante. Zbudował on, opierając się na tej samej zasadzie, dwupłaszczyznowiec z elastycznym sterem. Ster ten został następnie zastosowany w aparacie braci Wright, którzy, doskonaląc nieustannie swe przyrządy, zarzucili początkowe loty ześlizgowe i doszli do zbudowania aeroplanu z motorem. Zapomocą tego ulepszonego przyrządu, nieustraszeni lotnicy mogli już przelatywać pewne przestrzenie i osiągnęli znaczne szybkości.

W tym samym czasie pracowano nad zbudowaniem maszyny latającej na zupełnie innej zasadzie, a mianowicie zapomocą obracającej się śruby, która miała podnosić w górę cały przyrząd wraz z człowiekiem. Teoretycznie jest to zupełnie możliwe, lecz praktycznie próby te nie dały żadnych poważnych rezultatów.

Pierwszym aeroplanem, do którego zastosowano siłę mechaniczną, był latawiec motorowy Hensona. Następnie Anglik Philips udoskonalił go, uruchomiając płaszczyzny nośne. Nad tym typem samolotu pracowało następnie bardzo wielu ludzi. Pomiędzy innymi najwięcej zasłużyli się: Langley Saeltos — Dumont Ferber, chociaż ogólnie uważani byli za fantastów i próby ich nie wzbudzały zbytniego zaufania. Daleko lepiej zostali już przyjęci tacy aeronanci, jak: Voisin, Farman, Delagrange, Latham, a wreszcie znany Blériot, który



Angielski olbrzym dwupłatowiec.

pierwszy dokonał sławnego przelotu kanału La Manche na jednopłaszczyznowcu własnego pomysłu („Blériot" Nr. XI) w roku 1909. Odtąd rozwój lotnictwa nader szybko postępował naprzód.

Każdy aeroplan (płaszczyznowiec) składa się z kilku zasadniczych części; do najważniejszych należy zaliczyć: płaszczyzny nośne, śmigi, silnik, stery i podwozie. Wszystkie te części zaś opierają się i są przymocowane do *szkieletu*, składającego się z silnych, lekkich prętów.

Płaszczyzny nośne są zrobione z kauczukowanego płótna, naciągniętego na ramę. Ruchowi wstecznemu siły wiatru przeciwstawia się ruch płaszczyzn ku przodowi. Oprócz głównych płaszczyzn, których rogi dają się dowolnie wyginać, w celu ułatwienia kierowania, samolot posiada jeszcze inne mniejsze płaszczyzny, stanowiące ogon. Jeżeli aparat jest kilko-płatowcem, to płaszczyzny jego są połączone pionowemi prętami lub płaszyznami.

Śmigi są jedynym środkiem donadania samolotowi poziomego prostolinijnego ruchu. Gdy aeroplan wzniesie się w górę, śmigi służą do utrzymania go w ruchu. Obracając się bowiem, sprowadzają tak silny opór w powietrzu, że z kolei znajdują w niem oparcie, wkręcając się w nie, jak śruba w mutrę i w ten sposób posuwają aeroplan naprzód. Aby opór nie stał się za wielki, umieszczane są czasem dwie śruby działające w przeciwnych kierunkach. Śmigi są osadzone na wale, poruszanym przez silnik.

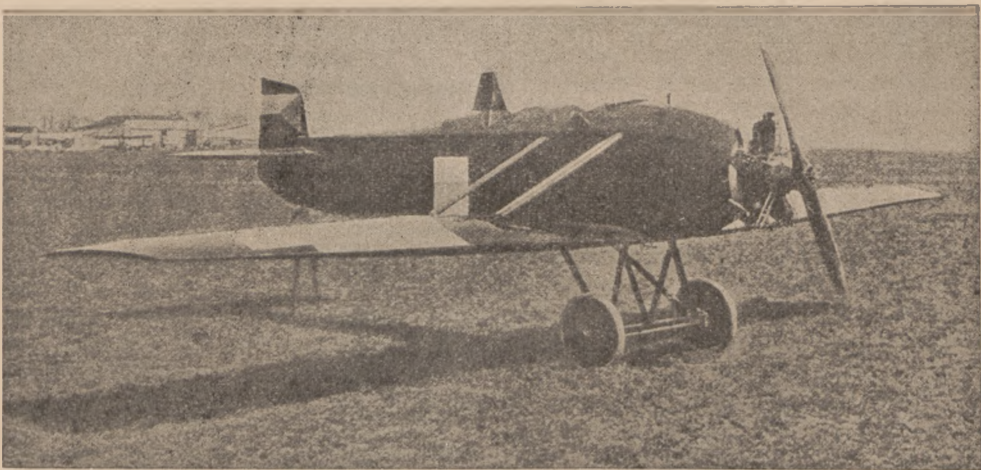
Silnik służy do nadania śmigom ruchu obrotowego w celu wzbudzenia przeciwdziałania powietrza. W samolotach bywają używane lekkie silniki spalinowe, posiadające po kilka i kilkanaście cylindrów — jest to ten sam rodzaj, który spotykamy w samochodach, tylko o większej sprawności, dochodzącej w nowoczesnych aparatach do 500 koni mechanicznych i więcej.

Stery służą do nadania samolotowi dowolnie kierunku poziomego i pionowego. Dlatego to każdy aeroplan posiada dwa stery: poziomowy i wysokościowy, skrzyżowane i umieszczone najczęściej na końcu aparatu, tworzą jego ogon. Przesu-

wając zapomocą specjalnego urządzenia płaszczyzny sterowe, lotnik może dowolnie kierować samolotem.

Aeroplan rozpędzając się po ziemi, posuwa się na *kółkach*, które stanowią jego podwozie. Lotnik może normować działanie tych części zapomocą kierownika w kształcie dzwonu.

Wśród płatowców rozróżniamy: monoplany i biplany. Pierwsze mają jedną płaszczyznę, nośną, są odporne na wiatr, lecz wymagają dużej ostrożności w kierowaniu. Drugie zapewniają większe bezpieczeństwo, lecz wymagają względnej ciszy powietrza.



Monoplan.

Hidroplany różnią się od płatowców podwoziem t. j., że zamiast kółek, mają łódź lub pływaki, wskutek czego hidroplan może startować i lądować na wodzie.

Wszyscy zapewne pojmują, jak olbrzymie znaczenie i zastosowanie ma lotnictwo. Przedewszystkiem nie możemy sobie wyobrazić nowoczesnej armji, nie posiadającej dobrze zorganizowanego lotnictwa wojskowego. Państwo bez lotnictwa wojskowego przegra bezwzględnie każdą wojnę, każda więc armja powinna być zaopatrzona w liczne samoloty. Wśród nich należy rozróżniać samoloty niszczycielskie olbrzymie, noszące duże ilości bomb i mogące szerzyć wielkie spustoszenie; wywiadowcze, zaopatrzone w bomby mniejsze, kulomioty, aparat fotograficzny, stację telefoniczną i t. d., a służące do obserwowania nieprzyjaciół, wreszcie małe myśliwskie, ochraniające własne samoloty. Ogromne również znaczenie mają aeroplany w służbie sanitarnej i policyjnej. Pozatem w czasie pokoju samoloty oddają nieocenione usługi. Przedewszystkiem w podróżach naukowych i wykonywaniu map, które dają się wykonać przy pomocy fotografij, niezmiernie szybko i precyzyjnie zdejmowanych z samolotów. Wreszcie nadzwyczaj dobra komunikacja pasażerska i towarowa, dzięki której zyskuje się tyle na czasie.

Na zakończenie parę słów o linjach komunikacyjnych i kilka ostatnich rekordów.

A więc. Od r. 1921 istnieje linja pocztowa między Nev-Yorkiem i Waszyngtonem; w 1-ym roku po założeniu przewieziono niecałe 8 miljonów listów, obecnie liczba ta zwiększyła się 5 razy. Cała Anglja np. jest poprzecinana pasażerskiemi linjami powietrznemi i posiada 120 portów łotniczych. To samo, w trochę tylko mniejszym stopniu, daje się zauważyć we Francji, gdzie już w r. 1921 przewieziono 13,000 pasażerów. Wypadki na linji powietrznej są nawet względnie rzadkie: na 100,000 pasażerów, przewiezionych w Ameryce samolotami, było 7 wypadków śmiertelnych, podczas gdy na 100,000 przewiezionych koleją ilość wypadków zwiększa się do 12. U nas również istnieją 3 linje komunikacyjne.

Teraz kilka liczb rekordowych:

Płatowce: największa odległość bez zatrzymania 4050 km., najdłuższy czas lotu bez zatrzymania 38 godz. największa wysokość 12 km., największa prędkość 448 km. na godz.

Hidroplany: najw. odległ. 1,600 km., najdłuższy czas lotu 14½ godz. największa wysokość 8 km.

Liczby te wykazują, jak niezmiernie szybko postępuje aeronautyka naprzód i jaką ma przyszłość,

R. K. — P.

WISŁĄ DO GDAŃSKA

(*ciąg dalszy*).

Przyczyna katastrofy nie była trudna do ustalenia. Pokład został oderwany przez wantę, bardzo silnie napiętą, skutkiem niedostatecznego zrefowania żagli przy tak silnym wietrze.

Stawiamy łódź w dryf *). Opuszczamy oba żagle, rzucając jednocześnie kotwicę. Po krótkiej naradzie postanawiamy jechać wolno dalej, licząc na naprawienie łodzi w warsztatach wojskowej flotylli w Modlinie. W dalszej drodze dwóch stale siedzi na burcie w miejscu uszkodzonem, ratując ciężarem pokład przed zupełnem oderwaniem. Wisła wzburzona. Posuwamy się b. wolno i na noc zatrzymujemy się naprzeciw Jabłonny.

Śpimy w łodzi. Podczas gdy dwóch przygotowuje kolację, druga dwójka rozpina namiot, zawieszony na rei i pokrywający łódź od masztu do rufy.

Rozkładamy materace, jaśki, koce. Do poduszki lektura: Wilk Morski, Opowieści Mórz Południowych, Murzyn z Załogi Narcyza.

Wiatr ucichł zupełnie — księżyc świeci przez małe okienko w namiocie. Tuż przy uchu lekkie, metaliczne uderzenie drobnej fali o cienką ścianę łodzi.

Następny dzień (czwartek 10/VII). Wyruszamy znowu przy wietrze północno-zachodnim. Droga niedaleka, ale trzeba zajechać możliwie wcześnie, żeby omówić naprawę łodzi. Martwi mnie, że może wypadnie długo czekać.

Nie dojeżdżając do Modlina, trafiamy na miejsce pamiętne z wiosennego wylewu. Wisła, zagrodzona mnóstwem wysp i kęp, rozlewa się bardzo szeroko, za to jest płytka; mielizny zaledwie pokryte wodą. Ogromna draga usiłuje pogłębić wąskie przejście, w którem właśnie manewruje holownik, ciągnący szereg berlinek. Wiosenne wody musiały szukać innej drogi i zalały zachodni brzeg.

Powoli zbliżamy się do tego jedynego przejścia, całą uwagę mamy zwró-

*) Dziobem wprost pod wiatr.

coną na groźne łańcuchy i kotwice dragi — dzięki temu najeżdżamy na czerwoną boję. Uwolnieni z tej pułapki opadamy na mieliznę. To nas skłania do spożycia obiadu. Daleka droga zatkana przez holownik, przeciągający berlinki pojedyńczo.

Do Modlina przyjeżdżamy o 4-ej po poł. Zatrzymujemy się koło wejścia do parku przy moście na Narwi *). Dzięki serdecznej pomocy oficera z warsztatów, można było natychmiast przystąpić do naprawy łodzi, według obmyślonego w drodze planu.

*) Most kolejowy Modlin - Nowy Dwór.

GAWĘDA

Obowiązek!

Czy może być nudniejsze słowo! Tak nudnie mówią o nim starsi. Wszędzie go pełno: w domu, w szkole, w katechizmie. Czasem doprawdy, jak mucha brzęczy koło ucha...

Aż człowiek na złość nieraz obowiązku zrobić nie chce.

Możeby go chętniej zrobił, gdyby mniej o nim mówiono.

Bo niema nic gorszego, jak robić nudne rzeczy.

— Ot zrobić coś z zapałem, dlatego że ciekawe, że tego nikt zrobić nie potrafi, ot tak, jak Skrzetuski szedł do króla—taki obowiązek to coś wart... ale ten na codzień, ten, co to o zadaną lekcję chodzi, i o tę głupią dwójkę, po której tak jakoś nogi dziwnie w ziemię wrastają, jak się do domu wraca—brr, jakie to nudne.

O, ja to znam doskonale!

Znam to lepiej jeszcze od was — bo uczyłam się w domu, a to daleko nudniej niż w szkole. W szkole są jeszcze koledzy i koleżanki, a tam w domu, to byłam tylko ja i obowiązek; taki jakiś mój wyłączny towarzysz, co to nikogo innego nie pilnował, tylko mnie.

I nie zastanawiałam się nad nim wcale, bo było tyle innych rzeczy na świecie.

Ot — naprzykład, siedzimy sobie przy stole — ja i mój towarzysz obowiązek i piszemy konjugacje francuskie, a tam zajeżdża beczka z wodą pod okno i taka tęcza robi się w strumieniu wody i tak dziwnie dzwoni woda o wiadro, naprzód głucho dudni, słychać, że w próżnię leci, a potem coraz ciszej i ciszej... już wiadro pełne.

I tak będzie piętnaście razy, zanim Ołeksa wgramoli się na beczkę, zatnie starego siwka i odjedzie; beczka kilka razy z ulgą podskoczy i za zakrętem zniknie. Kiedy byłam mała, straszono mnie, że mię Ołeksa do beczki zabierze, obecnie jestem już duża i uśmiechamy się do siebie porozumiewawczo przez okno.

A tam znowu siadł Medor koło przełazu i kręci ogonem.

Ktoś, kto nie pisał konjugacyj francuskich przy oknie, za którem jest przełaz i ogród, a za ogrodem wieś, a za wsią hen daleko taka droga wysadzona drzewami, z których układają się takie śmieszne litery, ten nigdy wiedzieć nie będzie, jakie to jest ciekawe, kiedy Medor koło przełazu ogonem rusza.

Ktoś idzie ścieżką koło sadu i nie można się go doczekać.

Albo ten bez — wysuwa się kiść liljowa z za muru, a na niej, przewalając się z kwiatka na kwiatek, sunie powoli zielony złotawiec. Czy spotka się z biedronką, czy się nie spotka?...

A ty człowieku pisz konjugacje!

Bardzo przeszkadzało nasze podwórze — nie mnie, a mojemu towarzyszowi.

Aż raz jeden nasze podwórze kazało mi na niego zwrócić baczną uwagę i powiedziało mi o nim więcej, niż wszystkie książki i wszyscy starsi o nim mi mówili.

Było to bardzo ciekawe.

Na podwórzu stał żołnierz (u nas nigdy żołnierzy nie bywało) i rozmawiał z moim ojcem. Miał czarny mundur, takie śmieszne czerwone grzebyki na ramionach i czapkę z czerwonym lampasem bez daszka. Stał wyprostowany i trzymał ręce przy sobie (nie wiedziałam wtedy, że to się nazywa na „baczność").

Przy obiedzie ojciec powiedział, że przyjął nowego stróża, który się nazywa Timofiej.

Wieczorem, kiedy kończyłam składać książki, a na podwórzu krowy, wracające z pastwiska, kroczyły tak poważnie, a bezmyślnie jedna za drugą, doleciały mnie słowa starego pastucha: „Łysa" zagrzęzła w bagnie i nie mógł jej sam dać rady. Została na pastwisku, trzeba kilku ludzi, aby ją wyciągnąć.

Ojciec zawołał nowego stróża, dał mu trzy ruble, sznury, latarkę i kazał mu iść biedną Łysą ratować.

My dzieci długo nie mogłyśmy zasnąć.

— Czy nowy stróż trafi, czy Łysa jeszcze żyje, czy ją zdołają uratować?

Skoro świt, wybiegliśmy na podwórze. Łysej nie było, nowego stróża także; przeszedł ranek i południe, niepokój o losy Łysej wzrastał, plątał się w słówka niemieckie i w reguły trzech i nie pozwalał zrobić rozbioru gramatycznego.

Zupełnie nie szły lekcje dnia tego.

Przy obiedzie doszliśmy wszyscy do przekonania, że nowy stróż wziął pieniądze i uciekł.

Pastwisko było daleko — posłana na zwiady Marysia o mało sama nie zagrzęzła w bagnie i wróciła z wieścią, że Łysa zdechła, a „Nowy" siedzi nad nią i pilnuje, aby psy skóry nie podarły.

Wieczorem zjawił się pastuch i oświadczył, że już skórę zdarli, a Nowy przyjdzie zaraz i że jest bardzo głodny, bo cały dzień nic nie jadł, a Mania powiedziała kucharce, żeby mu dała dobrą kolację.

Bardzo uważnie i z wielkim szacunkiem patrzałam na Nowego, kiedy wrócił taki strasznie obłocony i mył ręce przed kuchnią.

Długo jeszcze na kamieniu pod jabłonią roztrząsaliśmy z Mieciem postępek Nowego, który 24 godziny pilnował zdechłej krowy, aby psy skóry nie podarły.

Ja dowodziłam, że to bohaterstwo— siedzieć tak pociemku w błocie, całą noc i nic nie jeść cały dzień, a Miecio mówił, że bez wojny nie można być bohaterem, a zresztą ja jestem dziewczyna i nic się na tem nie rozumiem, a Ojciec przy kolacji powiedział, że to bardzo porządny człowiek, jeżeli pierwszego dnia służby spełnił tak sumiennie swój obowiązek. I tak Ojcu wesoło oczy błyszczały, gdy to mówił.

Zauważyłam, że memu Ojcu zawsze tak wesoło oczy błyszczały, kiedy mówił coś dobrego o ludziach.

Długo służył u nas Timofiej; nigdy nie stracił szacunku, który sobie nad skórą zdechłej krowy pierwszego dnia zdobył, był „osobą" w naszem małem państwie, miał swój własny dział w gospodarstwie, do którego się nikt nie wtrącał, był odpowiedzialnym ministrem podwórza, który odbywał poważne i stateczne konferencje z Ojcem.

Ojciec zrobił z niego swego pomocnika w prowadzeniu stacji meteorologicznej — i oto trzy razy dziennie, nie spóźniając się na minutę, Timofiej odprawiał misterja odsuwania i przysuwania budki z termometrami, wyruszał bez względu na zadymkę i ulewę na pole na obliczenie opadów atmosferycznych.

Jak żywa staje mi w oczach ciężka postać jego, zjawiająca się punktualnie z uderzeniem dziewiątej godziny na tle drzwi, wiodących do kuchni.

„Witer na try, nebo na desiat', rosy ne buło" raportował po żołniersku i zaczynała się zwykła pogadanka gospodarcza.

Szanowali go wszyscy, a najwięcej szanował go i poważał mój Ojciec.

Dużo lat od tego czasu upłynęło. Ale dziś jeszcze, jeżeli mi się czegoś bardzo nie chce, przypominam sobie szary wieczór przed kuchnią, zabłoconego Timofieja i to dziwne, nieopisane uczucie, z jakiem ja wówczas na niego patrzałam.

Na naszem podwórzu, za plecami Timofieja stał mój towarzysz. Obowiązek, który po raz pierwszy przemówił do mnie tak, że moja dusza drgnęła i słów jego słuchać zaczęła.

Dlategoż, jeżeli mi kto każe dziś wymienić ludzi, ktorych najwięcej szanuję, na jednem z pierwszych miejsc postawię — Timofieja.

Druhna Czajkowska.

U SKAUTÓW RZYMSKICH

Poznaliśmy się w szczególnych okolicznościach. Wracając z wycieczki na szczyt Gran Sasso (2910 m) w Abruzzach i wykąpawszy się pod Castellamare w letnich falach błękitnego Adryatyku, postanowiłem zboczyć w uroczą dolinę miasteczka Lubiaro. Tam cesarz Neron miał nad sztucznemi stawami swój letni pałac, w którym o mało co przez piorun nie został zabity. Tam trzysta lat później św. Benedykt, jako piętnastoletni chłopiec, porzuciwszy zgiełkliwą i płytką stolicę, w niedostępnej grocie na urwistej skale prawdziwie harcerskie prowadził życie w modlitwie i zwyciężeniu słabości, aby później, jako olbrzym wiedzy, woli i świętości Europę, wyniszczoną przez wędrówki ludów i dzikie hordy ze Wschodu, które ją zalały, doprowadzić do prawdziwej wiary i uszlachetnić zaginioną prawie kulturę grecko-rzymską.

Ciemno już było, gdy wspinałem się pod górę. Wreszcie zamajaczył w świetle gwiazd jasny front klasztoru św. Scholastyki. W podwórzu, otoczonem wysokiem murem, ktoś z latarnią chodzi: więc się pytam:.. kto tam?

— Trzecia drużyna rzymska;

— Bardzo mi przyjemnie. Macie tam miejsce dla jednego skauta polskiego?

— Prosimy bardzo: miejsca aż za dużo!

Jak teraz dostać się do tak gościnnej kwatery? Przez żelazną bramę niemożliwe, bo nad nią łuk murowany broni przejścia. Klasztoru o północy budzić nie warto. Od czego rozum? Mur ze trzy metry wysoki, ale kamieni pełno dokoła. Dwa razy zawaliła się ustawiona piramida, ale za trzecim razem uchwyciły palce dachówki. Zadarta noga znalazła u góry trzeci punkt oparcia. Jedno podciągnięcie się na rękach, i już siedzę na murze jak na koniu. Skok z drugiej strony nie przedstawiał już trudności. Znala-

złem się w objęciach braci skautów. Przybyli oni tutaj po dwutygodniowej wędrówce przez Apeniny już po zachodzie słońca i dali się zamknąć w podwórzu — (pewnie ,żeby ich kto nie ukradł). Muły, które niosły im namioty i kuchnie, jeszcze nie nadeszły, bo je posłali dalszą drogą dolinami, podczas gdy sami skrócili sobie drogę, idąc przez szczyty. Pomęczeni spali teraz pod gołem niebem na gołej ziemi, pokotem leżąc jeden obok drugiego.

Tom wpadł — pomyślałem sobie, zewnątrz murów byłbym sobie był znalazł lepszy nocleg, niż na wydeptanem podwórzu klasztornem, ale kiedy wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one!



Włożywszy plecak pod głowę, zawinąłem się w derę, i obudziłem się dopiero, gdy wschodzące słońce ozłociło góry dokoła, wietrzyk świeży się zerwał, dolina zabrzmiała chórem ptactwa. Zdziwili się chłopcy zobaczywszy rano, co za obcy ptaszek w nocy do nich się przybłąkał, a już przy kąpieli w szumiącej głęboko w dole rzeczce Aniene, tej samej co w Tivoli tworzy prześliczne kaskady, byliśmy dawnymi przyjaciółmi i budowaliśmy wielką tamę z kamieni, żeby mieć basen dość głęboki do pływania. Od tego czasu należałem już nierozdzielnie do drużyny, mając pod sobą z początku kilkunastu seniorów ponad 16 lat, później resztę drużyny oprócz wilcząt, a była to drużyna licząca przeszło stu chłopców.

Mieszkaliśmy literalnie u Pana Boga za piecem, bo pod samym kościołem św. Joachima na Prati, gdzie drużynie proboszcz oddał do używania wysokie i jasne sklepy kościelne i do tego wielkie podwórze. Możeby i u nas znaleźli się podobnie szlachetni rządcy kościoła. Niejedna drużyna, cierpiąca chronicznie na brak dachu nad głową, wyzdrowiałaby i zakwitłaby wtenczas. Trzeba tylko najprzód odpowiednie lokale wytropić, a potem dyplomatycznie z odpowiedniemi argumentami przez najodpowiedniejsze osoby szturm dopuścić. „Pan Jezus powiedział dopuście dziatkom przyjść do mnie“ i nie miał nic przeciwko temu, że Mu hałasem trochę spokój zakłócały. Najważniejsza rzecz, przebić osobne wejście i założyć oświetlenie elekryczne. Myśmy mieli nawet światło za darmo, choć go się wiele zużywało na warsztaty, umieszczone pod główną nawą kościoła. Każdy zastęp prowadził swój przemysł na własną rękę w oddziale, zagrodzonym siatką drucianą.

Orły pracowali w stolarstwie, niedźwiedzie w mechanice, lisy i wilki oprawiały książki, tygrysy fotografowały, żmije uprawiały plastykę w masie papierowej, a wilczęta wyrzynały piłką figurki skautów i żołnierzy. Idealne to było pomieszczenie dla drużyny. Innym lokatorom hałas nie przeszkadzał, bo ich nie było, tylko czasem, gdy w kościele było kazanie, przychodzili w poselstwie ministranci, żeby się ciszej zachowywać, bo nas słychać na górze.

Ci z druhów, którzy w tym roku

na pielgrzymkę do Rzymu pojadą, zapewne nie omieszkają odwiedzić trzeciej drużyny, bo gości, chcących poznać skautów rzymskich u siebie, zwykle naczelnictwo do nas posyła. Żadna bowiem z drużyn nie ma chyba tak pięknie udekorowanej harcówki, jak trzecia rzymska, i to pomysłem i pracą drużynowych artystów. Gdy zejdziesz po schodach, przed wejściem jeszcze salutuje cię skaut, namalowany na ścianie jak żywy. Wewnątrz każda ściana pomalowana al fresco.

Tam Indjanie w wojennym stroju wymachując toporkami, tańczą wkoło ogniska, nad którem się piecze na rożnie coś podobnego do psa, Obok jest obóz harcerski nad jeziorem, budują domek z okrąglaków, most nad strumykiem już gotów. Jeden z harcerzy ustawia aparat fotograficzny, żeby uwiecznić pracowitą scenę. Na jednym z filarów namalowany wódz indyjski owinięty w płaszcz o jaskrawych deseniach. głowa otoczona koroną z barwnych piór. Vis à vis podróżnik do bieguna północnego w ubraniu futrzanym potrzy na busolę, która zdaje się nie funkcjonować — widać stoi na samym biegunie magnetecznym. Dalej niosą dwaj wywiadowcy z Ziemi Obiecanej ogromne winogrona na drągu, tak duże jak oni sami, zdążając do obozu bielącego się zdala namiotami. Na wspiętym koniu święty Jerzy w żelaznej zbroi wbija dzidę w serce straszliwego zielonego smoka, któremu ogień z pyska bucha. Krew z rany się leje czerwona, jakby prawdziwa, obraz przejmujący skautów grozą ilekroć na niego spojrzą.

W oddziale wilcząt maszeruje zastęp przez pole, ciągnąc wózek o dwóch kołach, obładowany plecakami, szklaną szafę, zawierającą muzeum drużyny,—śliczne minerały, skamieniałości, monety, premje zdobyte, otacza czarodziejski las, w którym chodzą jelenie, fruwają rajskie ptaki, jakich w żadnym podręczniku zoologji nie znajdziesz. Wreszcie wzdłuż krętych schodów, odpowiednio do spadającej linji projektowany jest tor śnieżny z saneczkami biegnącemi w dół. Oto co można zrobić z zimnych, bielonych wapnem murów harcówki, gdzie zwykle jedyną dekoracją bywają druki wyrwane z jakiego czasopisma i festony pajęczyn. Kto nie chce sam rzucić na ścianę rysunek własnego pomysłu, niech popowiększy odpowiedni obrazek zapomocą kratkowania. Dodam jeszcze, że



długie proste linje naznacza się zapomocą sznurka sadzanii uczernionego, który się na końcach przytwierdza albo każe przytrzymać, żeby był wyprężony, a potem tak długo o ścianę prztyka, aż wszędzie czarna linja jest widoczna. Później można ją znowu wytrzeć. Nie potrzeba operować wielu kolorami, byle były dobrze dobrane i nie gryzły się. Wystarczy wkońcu farba czarna z sadzy mieszanej z klejem na białem tle. Drobniejsze linje można wydrapać nożem. Motywów znajdziesz w nagłówkach książek, ile tylko chcesz.

Wszystkie fotografje od początku drużyny aż do ostatnich czasów, oprawione w szkło zużytych klisz, biegną rzędem w równej wysokości wzdłuż wszystkich ścian. Jest ich już więcej niż sto, a wszystkie znaczone datą, miejscowością i nazwiskami. Jest to jakby ilustrowana kronika drużyny, przypominająca wszystkie uroczystości, zawody, wycieczki i twarze dawnych braci harcerzy, co kiedyś bawili się i pracowali wspólną prowadzeni myślą, teraz daleko rozproszeni po świecie żyją, a wielu z nich z wojny już nie wróciło. Przychodzą nieraz tacy starzy skauci oglądać miłe kąty, w których kiedyś najswobodniejsze chwile spędzali, żeby, patrząc na rozbawioną młodzież, przypomnieć sobie dawne dobre czasy.

Kobieta oko w oko z lwem.

Zdarzenie w Rodezji.

Wszelkie niebezpieczeństwo posiada cechy romantyzmu. Jednego i drugiego nie braknie w Rodezji.

Pani Maclean z Salisbury, położonego w głębi afrykańskiego kontynentu, miała wstrząsające zdarzenie, typowe dla życia poświęconego prowadzeniu gospodarstwa w dzikiem otoczeniu.

Chociaż Pani Maclean mieszka w Salisbury, posiada jednak fermę z chodowlą krów poza granicą Rodezji, w Portugalskiej Afryce i podróż do tego folwarku odbywa na rowerze przez pustynię i skrawki dżunglji. Pewnego razu Pani Maclean znalazła się oko w oko z dwoma potężnemi lwami i dwiema lwicami, oblizującemi się po ugaszeniu pragnienia w strumieniu, przez który właśnie była przejeżdżała. Szybko zeskoczywszy z roweru, wyciągnęła rewolwer i spokojnie patrzyła w oczy zwierzętom. Przez pewien czas te ostatnie i samotna kobieta mierzyli się nawzajem wzrokiem, oczekując pierwszego ruchu. Lwy pierwsze poruszyły się i spokojnie zniknęły w zaroślach. Wtedy Pani Maclean wskoczyła z powrotem na rower i ruszyła tempem z pewnością najszybszem, na jakie ją było stać. Lecz nie odjechała nazbyt daleko, gdy ujrzała drogę zabarykadowaną przez dwa cielska olbrzymich byków, któremi raczył się ogromny lampart. Korzystał on z resztek pozostawionych przez lwy, które dokonawszy mordu już były nasyciły swój apetyt. W mniej flegmatyczny sposób niż lwy, lampart, zaniepokojony widokiem cyklistki, drapnął w zarośla. Przebywszy nowe niebezpieczeństwo p. Maclean dotarła do fermy, położonej w sąsiedztwie jej własnej. Znalazła tam mieszkańców, szczelnie pozamykanych wewnątrz domostw, gdyż ich to byki zostały porwane przez lwy. Wiele kobiet miałoby dosyć spotkania z dzikiemi bestjami, na jeden dzień; lecz nie Pani Maclean. Po załatwieniu swoich interesów, uparła się jechać z powrotem do domu.

Farmer, którego byki były porwane, towarzyszył jej wraz z dziesięcioma krajowcami, aby napotkać lwy i lamparta, lecz nie natrafili na nich. Być może, że pani Maclean zawdzięcza swe ocalenie okoliczności, iż dzikie zwierzęta były doskonale nakarmione w momencie spotkania i nie miały powodu ryzykować napadu na rzecz tak ciekawą, jak rowerzystkę, w chwili, kiedy potrzebny był im spoczynek. Lecz pani Maclean o tem nie mogła wiedzieć.

Czy kwiaty nie lubią muzyki?

Czy kwiaty nie lubią muzyki? To pytanie może wydawać się niemądrem, jednak rzecz się ma zgoła inaczej, gdyż stwierdzono, że niektóre rośliny stanowczo odwracają się od głośnej muzyki orkiestrowej.

Cyklameny i goździki pąsowe, są zdaje się specjalnie czułe na powtarzające się dźwięki, i wykazują wyraźną skłonność do odchylania się od kierunku, skąd płynie melodja. Lilje również podlegają temu samemu „afektowi". W jednym wypadku podczas przeprowadzania doświadczeń, gdzie kwiaty owe użyte były, jako dekoracja sali w pobliżu orkiestry, bezustannie przygrywającej do tańca, cyklameny i goździki pąsowe zostały porażone dźwiękami w zadziwiająco silnym stopniu.

Dalsze badania w tym kierunku są ciągle prowadzone, a rezultat ich wbudza wielkie zainteresowanie.

K.

WOJNA CHEMICZNA.

W najbliższym czasie wszyscy harcerze będą obowiązani zapoznać się trochę z wojną chemiczną, to znaczy z zagadnieniem używania gazów bojowych (t. zw. „trujących") w czasie wojny, ze skutkami ich działania oraz sposobami obrony przeciw nim.

— Szczegóły wykonania tego obowiązku będą podane osobno—na tem miejscu chcę tylko w kilku słowach zachęcić Druhów do poważnego potraktowania tej sprawy.

* * *

„Alarm gazowy!" nie tylko wojskowych dotyczy. „Alarm gazowy" w razie wojny, usłyszą wszyscy. Usłyszy go każdy obywatel, bez względu na wiek, zajęcie i t. p.

— Powinniśmy to sobie uświadomić.

— Ale — spokojnie, bez paniki.

— Straszne jest to czego nie znamy; niebezpieczne—to przeciw czemu nie umiemy się obronić.

— A więc: poznajmy dokładnie to niebezpieczeństwo i sposoby obrony przeciw niemu, aby przestało być niebezpiecznem.

— „Harcerz służy Ojczyźnie" jest to nasze prawo i hasło również miesiąca lutego b. roku.

— Nie służy dobrze Ojczyźnie ten, kto nie umie Jej bronić w razie potrzeby, kto w czasie pokoju nie myśli o przygotowaniu do obrony.

* * *

— Broń chemiczna jest bronią przyszłości. — Inne bronie wymagają wielkich arsenałów, składów tysięcy sztuk broni i miljonów sztuk amunicji, przygotowywanych zawczasu, latami zanim przyjdzie wojna.—Ta broń wymaga... tylko nauki!

— Tak jest, potrzeba prawie wyłącznie tylko, abyśmy posiadali uczonych, inżynierów, chemików. — Potrzebny jest Instytut badań chemicznych (wzorem zagranicy), gdzieby oni mogli badać, probować i robić doświadczenia... A wytworzenie tej broni w razie potrzeby, gdy przemysł chemiczny będziemy mieli dobrze rozwinięty,—to, na podstawie ich recépt,—kwestja dni, nawet—godzin zaledwie.

Zapoznajcie się z wojną chemiczną, popierajcie komitet obrony przeciwgazowej i budowę Instytutu badań.

— A jeśli który z Was czuje zamiłowanie do służby wojskowej, i kończąc szkoły średnie nie zmieni upodobania — to przy wyborze rodzaju broni niech się zastanowi dobrze. — Wiem, że najwięcej pociąga Was broń pradziadów — kawalerja, ale... piechota jest też bardzo potrzebna, a ma więcej zastosowania i na barki jej spada główny ciężar wojny..., a in-

żynierja wojskowa — specjalnie w zakresie broni chemicznej — jak wielkie pole do rozwoju, wynalazków, do przysporzenia korzyści krajowi i sławy osobistej...

— Dziadowie nasi byli kawalerzystami — bo kawalerja była ówczesną główną bronią, kto wie jednak, czy pradziad—husarz, gdyby nagle zmartwychwstał obecnie, — wróciłby do konia i skrzydeł, czy raczej nie zdjąłby ostróg swych i nie zasiadł w gabinecie badań nad retortami, szklankami, kwasami i t. d. Pradziadowie nie sobie — a Ojczyźnie służyli, — służyli tak, jak było potrzeba.

— Bądźmy godnymi ich wnukami.

— Ci których zawód wojskowy nie pociąga, — niech pomyślą czy nie odpowiada im czasem zawód inżyniera—chemika, albo czy nie mogliby przyczynić się do rozwoju przemysłu chemicznego w Polsce.

I... niech nie będzie bodaj jednej drużyny harcerskiej, którąby nie popierała Komitetu Obrony przeciwgazowej.

— Czuwajmy! bo złe nie śpi, nie bądźmy zaskoczeni kiedyś!

E. Ginalski.

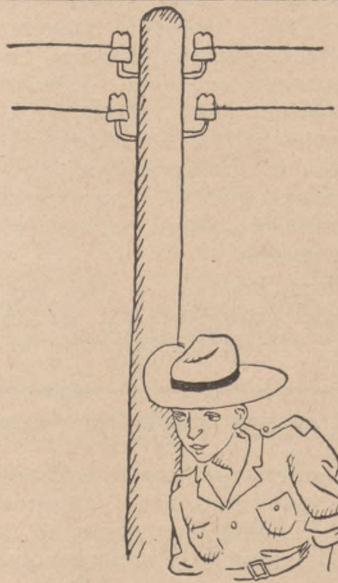
Z KSIĄŻEK.

Jan Powalski, *Król*, Powieść z czasów Przemysława Pogrobowca, z rycinami St. Bagieńskiego, wyd. II, Arct, Warszawa, 1923, str. 109.

Ubogi chłopiec, rozkochany w starym Krakowie, który mu opowiada o minionej przeszłości, w cudowny sposób przenosi się w tę przeszłość. Jako Czerój, jedzie na koronację Przemysława do Poznania, zostaje dworzaninem królewskim, ostrzega króla przed zdradą niemiecką. Napróżno. Przemysław ciężko ranny leży w śnieżnem pustkowiu. Chłopiec woła o ratunek. W tej chwili następuje jego przebudzenie się w pobliżu Krakowa, po 8-miu miesięcach niebytności w domu.

Książka serdecznie i żywo mówi o dawnych czasach i ludziach. Słyszymy ich rozmowy i spory, zwłaszcza zaciekawia nas spór Przemysława z Łokietkiem. Obaj chcieli zjednoczonej Polski, ale każdy miał inny program. Przemysław za konieczność dla państwa uważał zdobycie morskiego pobrzeża i w tym kierunku wytężył wszystkie siły. Zginął w nierównej walce z podstępnym przeciwnikiem.

Z. Szmydtowa.



CO SŁYCHAĆ W Z. H. P.

Przemyśl.

Dnia 2. II. 1925 r. odbyło się przedstawienie, urządzone przez hufiec żeński w Przemyślu ku uczczeniu 61 rocznicy powstania styczniowego. Sztuczka p. t. „Wieczór styczniowy" pokierowana sprawną dłonią dh. Komendantki hufca miała artystyczną oprawę; jej wykonawcy zasłużyli w pełni na pochwałę. Z powierzonych ról wywiązały się młode aktorki znakomicie i wszystkie bez wyjątku odpowiedziały w zupełności swemu zadaniu. Dh. Robliczkówna dowiodła, że posiada szczery talent, wsparty na sumiennej pracy i należytem przygotowanin. Dość znaczny dochód powiększył naszą ubogą kasę.

Z. Maladzianka (Zorka).

Warszawa.

Praca w „Trzynastce" warszawskiej odbywa się zurełnie normalnie. Pomimo olbrzymich trudności, jakie nasuwa zbliżająca się matura (maturzyści stanowią 45% członków drużyny) zbiórki zastępów odbywają się normalnie. Na zbiórkach poruszane są tematy literackie i społeczne, czasem zawadzamy o technikę nowoczesną (lotnictwo, radjo). „Gromada Wilcząt" istniejąca już od dwóch lat w drużynie pracuje bardzo intensywnie. Z dawnych „Wilczaków" mamy już jeden zastęp dzielnych „młodzików", reszta zaś dosługuje się stopni Wilczęcych w Gromadzie. Szczególną atrakcję dla Wilcząt stanowią wycieczki, które niestety zimą rzadko odbywać się mogą. Czasem jednak robimy dla nich tę przyjemność. Drużyna cała też wyrusza czasem na wycieczkę. Mieliśmy w tym roku bardzo miłą wycieczkę do Łodzi i parę mniejszych w okolice miasta.

Miesiące „Prawa Harcerskiego" staramy się przerobić jak najlepiej: W styczniu ukazała się „czarna tablica", na której wypisano wszelkie spóźnienia (nie tylko na zbiórki) i inne przewinienia członków drużyny związane z nieobowiązkowością. Na szczęście lista jest prawie czysta. Mieliśmy również gawędę na zbiórce drużyny „O Zawiszy". W drugim miesiącu zwracamy specjalną uwagę na poznanie kraju ojczystego, jego konstytucji i ustroju, oraz pilnie śledzimy postępy w nauce szkolnej członków drużyny, którą uważamy za nasz pierwszy obowiazek. Z zakresu sprawności zwrócimy uwagę na następujące: krajoznawcy, strzelca, lotnika, pionera przemysłu i topografa. Oddając się pracy harcerskiej, nie zapominamy o naszych obowiązkach wobec społeczeństwa. Tak więc na kiermaszu Narodowej organizacji Kobiet urządziliśmy oprócz dochodowego kiosku drużyny, kiosk poświęcony specjalnie propagandzie na rzecz Ligi Obrony Powietrznej Państwa. Tę propagandę drużyna podjęła z własnej inicjatywy, przysparzając L. O. P. P. około stu nowych członków.

W grudniu drużyna złożyła wieniec na grobie „Nieznanego Żołnierza".

Stosunki z Kołem Przyjaciół i szkołą są bardzo dobre. Na terenie szkoły drużyna ma swój sklepik, który cieszy się wielkim uznaniem wśród sztubaków.

Do zawodów o tegoroczne mistrzostwo Z. H. P. drużyna zgłosiła się jedna z pierwszych.

"Trzynastak z Warszawy".

WILCZUR GWARZY.

Przypominacie sobie może Wujaszka, co z Wami rozmawiał w tym Ognisku, które wychodziło przed dwoma laty. Byliście wtedy zapewne małymi wilczkami — dziś jesteście już starymi, doświadczonymi wilkami — a wasz wujaszek — całkiem już się na dziadka przemienił. Nie przystoi mi jednak dziadkiem się tytułować, bo przecież znów tak bardzo starym nie jestem — więc żeby zaznaczyć z jednej strony swoje „dziadostwo", a z drugiej swoją „harcerskość" będę się nazywał wilczurem, który będzie Wam odpowiadał na wszelkie pytania do niego skierowane. Czekam więc na różne wasze wątpliwości, których zapewne macie bardzo wiele. Listy adresujcie: Warszawa, Ujazdowskie 38 m. 12, Redakcja „Harcerza" dla Wilczura.

* * *

Pytasz się **„Szybki Jeleniu"** dlaczego 2 lutego nie było święta i dlaczego musiałeś isć do warsztatu? Prawnie ta sprawa nieświętowania tego dnia opiera się na rozporządzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej, który na mocy upoważnienia danego mu przez Sejm, na podstawie uchwały Rady Ministrów, w porozumieniu z władzami kościelnemi skasował cały szereg świąt — między innemi także i 2 lutego. Nie jest to jednak tak wielka krzywda, jak Ci się wydaje. Polska do niedawna była krajem, gdzie najwięcej było świąt, a w dzisiejszych czasach wielkiej konkurencji nie możemy sobie pozwolić na tak częste leniuchowanie — musisz się zgodzić ze „smutnym", jak nazywasz losem i nawet nie będziesz miał tej osłody, że pracę, którą wykonałeś tego dnia, złożyłeś na ołtarzu ogólnonarodowego wysiłku ku podniesieniu wydajności naszej pracy. Zrobiłeś tylko to, co robisz codziennie, pracowałeś uczciwie i porządnie z wszystkimi innymi.

Trzynastak, który się dopytuje o zawody o tytuł Pierwszej Drużyny Rzeczypospolitej, niech poprosi drużynowego, aby mu uważnie przeczytał Wiadomoćci Urzędowe № 1 z roku 1925 r. — dowie się z nich jasno i dokładnie, jakie zawody czekają każdą drużynę, która o ten zaszczytny tytuł ma zamiar się ubiegać. Jak mi się jednak udało „zmyszkować" między drużynami nie tylko w Warszawie ale i na prowincji: współzawodnictwo w tym roku będzie daleko większe i silniejsze niż na Zlocie. Radzę więc drużynom wszystkim, a radzę naprawdę szczerze nie zasypywać „gruszek w popiele".

Czajko droga! Zrobimy Ci, o co prosisz, ale napisz dokładniej, o jakie chodzi ci przyrządy, podaj rozmiary, napisz z jakiego metalu mają być zrobione. I pamiętaj, że nazwisko swoje nam podać musisz mimo to, że według twego życzenia będziemy Cię nazywali „Czajką". Bo w przeciwnym razie Twój list będzie anonimem— a to brzydka rzecz.

Janek W. chwali się, że sprzedał 7 biletów na Loterję — chwali Ci się to bardzo, niestety nie wszyscy chcą spełnić swój obowiązek w stosunku do Naczelnictwa, które przystępując do budowy dachu nad swoją głową, zwróciło się do wszystkich z prośbą o pomoc. Ale niech wszyscy, którzy te słowa czytać będą, dobrze sobie uświadomią, że musi być sprzedane 100.000 losów—a według zestawienia, które ma Biuro Loterji, do dn. 25/I sprzedano losów aż 2319 w 62 środowiskach — ale jestem pewien, że cały szereg czytelników Harcerza jeszcze losów loteryjnych nie sprzedało, — czekam więc od wszystkich w tej sprawie wiadomości.

S. K. N. Gdzież Twoja rzetelność? Masz pretensje do innych — ale sam nie spełniasz tych obowiązków, których się podjąłeś — a właśnie styczeń poświęcić mieliśmy urobieniu swojej rzetelności, aby była nie przymusem dla nas, lecz naszą właściwością. — I raz jeszcze radzę Ci zastosować się do arcymądrego zdania, że ciskać kamienie na innych ma ten tylko prawo, kto sam jest czysty.

Wilczur.

AFRYKAŃSKIE PRZYGODY *(c. d.).*



— Tak, tak — potwierdził Joe.

— Teraz, powiedz mi, gdzie zamierzasz ukryć kamień — zapytał fermer chłopca.

Długą chwilę zastanawiał się Piotr, wreszcie wykrzyknął!

— W mojej lasce, Sir? Gdyby można było zdjąć z niej skówkę, a następnie wywiercić w drzewie dziurę, i, schowawszy tam kamień, przykryć go kawałkiem drzewa i nałożyć zpowrotem skówkę, sądzę, że nikt nie zdoła go znaleść.

— Dobry pomysł— odpowiedział fermer. Zaraz go wykonamy. Niema potrzeby, ażebyś jechał do Anglji: Znam w Cape Town agenta, któremu mogę zaufać. Daj mi laskę.

II. Podróż.

W godzinę później praca była ukończoną i Piotr gotów do drogi. Postanowił on udać sie do małej stacji, leżącej na granicy Wolnego Państwa, a odległej o 40 klm. Stamtąd zaś koleją do Cape Town. Mr. Haythome dał mu pieniądze na podróż, adres zaś agenta, napisany na wąskim skrawku papieru, wszyto mu pod podszewkę płaszcza.

Wystrzegaj się Doorna — była ostatnia rada Haythoma.— Mieszka on na zachód od nas w odległości siedmiu mil, udaj się więc w kierunku południowo-wschodnim. Jest to droga gorsza, ale bezpieczniejsza. Tutaj masz powiększony szkic mapy, który ci wskaże grogę.

Zaopatrzony w żywność, Piotr wyruszył w drogę. Był tak podniecony, że zaledwie zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło. Bardzo szybko przebył pierwsze trzy czy cztery mile. Słońce je-

dnak paliło, jak ogień, to też stopniowo krok jego stawał się coraz powolniejszy. Poczucie wielkiej odpowiedzialności pobudzało jego ostrożność, rozglądał się dokoła, badając bacznie teren.

Przed nim rozpościerało się pasmo pagórków; ich wysokie, przytępione szczyty odbijały się wyraźnie na lśniąco niebieskiem, afrykańskiem niebie.

Południe zastało Piotra między wzgórzami. Myśli jego ożywiły się, mniemał, że jest bezpiecznym. W cieniu dużej skały spożył śniadanie. Następnie zaczął się rozglądać za miejscem, dogodnem na odpoczynek. Polecono mu unikać siedzib ludzkich.

Nagle usłyszał przygłuszone stąpanie: rozejrzawszy się dookoła, spostrzegł idącego doliną Kaffra. Chociaż był on stary i wyglądał niewinnie, Piotr jednak ukrył się za skałą i czekał, aż zniknie. W godzinę później wyruszył w dalszą drogę. Całe południe szedł naprzód przez dziką okolicę, nie widząc nic, z wyjątkiem węża i paru pawjanów. Słońce skłoniło się ku zachodowi, trzeba było zatem postarać się o miejsce na nocleg. Znalazł wkrótce maleńką kotlinkę i zaczął zbierać gałęzie na ogień. Wiedział bowiem doskonale, że w południowej Afryce należy dla bezpieczeństwa rozniecać w nocy ogień. Chociaż lwów niema już w tej części kraju, spotykają się jednak szakale i lamparty. Po rozniecaniu ognia, rozłożył koc i spożył kolację.

Szakale wyły przeraźliwie. Było też słychać dookoła inne dźwięki, których rozpoznać jednak nie potrafił. Czuł się bardzo osamotnionym i sporo upłynęło czasu zanim zasnął.

Nazajutrz, gdy się obudził, było już zupełnie widno. Zerwał się zatem pośpiesznie. Wszystko było w porządku. Po krótkiem śniadaniu wyruszył dalej. Przedtem jednak oglądnął się, aby się przekonać, czy niema nikogo na horyzoncie. Nagle, na piasku, spostrzegł odcisk ludzkiej stopy. Nie były to jego własne ślady, gdyż pochodziły od bosej nogi.

Piotr pomyślał o Kaffrze, którego widział poprzedniego dnia, i ogarnął go wielki niepokój. Wziąwszy swój drogocenny kij, wyszedł z kotliny i, posiłkując się mapą, podążył dalej.

Na każdym zakręcie rozglądał się dokoła, nigdzie nie było jednak żywej duszy. Wydawał się jedynem, żywem stworzeniem w tym martwym świecie. W południe uspokoił się znowu. Obecnie miał do stacji Boston, gdzie zamierzał spędzić noc, osiem zaledwie mil.

Gdy znalazł się na kraju płaskowzgórza, oczom jego przedstawiła się nizina, rozpostarta jak mapa. Widok był tak rozległy, jakiego nigdy nie widział. Widać było wyraźnie Boston i długą linję podwójnego toru, przecinającego miasteczko i gubiącego się w dali. Pociąg odchodził dopiero o godz. 10.30, Piotr postanowił więc zaczekać do zachodu słońca, aby zakończyć swoją podróż nocą, coby mogło ewentualnie utrudnić ścigającym go odszukanie śladów.

O zmroku wyruszył w dalszą drogę. Błyszczące, południowe gwiazdy dawały dosyć światła, to też wytrwale posuwał się naprzód. Wreszcie dotarł do szerokiej drogi, nikogo jednak na niej nie zauważył.

Nagle posłyszał tupot końskich kopyt. Ukrywszy się za krzakami ujrzał dwóch mężczyzn, było jednak za ciemno, by mógł ich rozpoznać.

Pewnie fermerzy, jadący do miasta — pomyślał — i skoro zniknęli, znowu udał się w drogę. Znajdował się już w odległości mili od miasta i mógł rozpoznać w oddali światła. Przyśpieszył kroku. Nieopodal droga wchodziła w łożysko rzeki. Zatrzymał się na chwilę, rozglądając się i nadsłuchując, jednak dookoła było spokojnie, to też wesoło zbiegł z pochyłości.

III. Niespodzianka.

Koryto rzeki było suche i zawalone dużemi kamieniami. Piotrowi nie podobały się ostre kształty głazów, zawrócił na zachód, by znaleść miejsce dogodne do przeprawy. Wreszcie udało mu się to i, przebywszy rzekę, wytrwale wspinać się począł na stromy brzeg. Nagle usłyszał z prawej strony cichy jęk.

— Kto tam? — zapytał.

— Ba'as, ukąsił mnie wąż — odezwał się ochrypły, błagalny głos.

Piotr, ująwszy na wszelki wypadek mocno laskę, zeszedł z drogi i skierował się ku zaroślom, z których dochodził jęk.

Na ziemi leżał Kafr, jęcząc w agonji. Jedna z jego nóg, silnie opuchnięta, była owiązana sznurem.

— Cóż ja mogę ci pomóc? — rzekł zakłopotany Piotr.

— Ba'as, czy nie mógłbyś mi dać trochę wódki? — zapytał człowiek.

Piotr miał butelkę, którą mu dali Haythomowie, jako lekarstwo w podobnych wypadkach. Zdjął więc swój plecak i zaczął wydobywać butelkę, gdy nagle na głowę spadł mu ciężki koc i para silnych rąk, schwyciwszy w pół, powaliła go na ziemię.

Stało się to tak szybko, że, nim zdążył pomyśleć o obronie, poczuł na sobie ciężar mężczyzny, przyciskającego go kolanami do ziemi.

NAGRODA ZA ROZWIĄZANIE SZARADY.

W poprzednim numerze z braku miejsca nie umieściliśmy warunków konkursu na rozwiązanie szarady. Czynimy to obecnie.

Za najlepsze odpowiedzi przeznacza Redakcja książkę K.A. Czyżewskiego: „Maciek I. Król powietrza", do rozlosowania.

Termin odpowiedzi przedłużamy do 15 marca wobec omyłki druku, która mogła utrudnić rozwiązanie. Mianowicie w w. piątym ma być: „Czwartego nie wolno *tracić* z nas żadnemu". Również czternasty wiersz powinien brzmieć: „głoski te z sobą *tak* zgrabnie dobierze".

SPROSTOWANIE.

Na stronie 7. w 3, numerze „Harcerza" w wierszu podpisanym *St. M.* w zwrotce 4. ma brzmieć wiersz drugi: Błogosławiona nasza *młódź*, co w życie kroczy"...

W zwrotce ostatniej w w. 4. ma być *Wszyscy*.

OD REDAKCJI

W myśl życzeń, wyrażanych głównie przez Druhny, zwiększamy numer „Harcerza" o 4 kolumny (strony). Czynimy to tem chętniej, że kto żąda, od tego też żądać będzie można. A Redakcja ogromnie wiele ma żądań.

Przedewszystkiem pragniemy, aby „Harcerz" był naprawdę wszędzie czytany i aby stał się istotnie zbiorowym czynem Drużyn.

Mimo trudnych waruków finansowych C. K. D. H, zgodziła się powiększyć objętość pisma, bo rzeczywiście dużo, bardzo dużo mamy potrzeb, które należy omówić na łamach „Harcerza". Tylko nie gniewajcie się Druhny i Druhowie, jeśli długo nieraz będziecie czekali na Wasz artykuł. Ukaże się on z opóźnieniem, ale wolicie przecież, aby rzeczy ważniejsze szły wpierw?

PRENUMERATA WYNOSI:

Rocznie	wraz z przesyłką	12 zł.
Półrocznie	„ „ „	6 „
Kwartalnie	„ „ „	3 „
Miesięcznie	„ „ „	1 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę.	100 zł.
„ $^1/_2$ strony.	55 „
„ $^1/_4$ „	30 „

Numer pojedynczy 50 groszy.

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. № 10,020 albo przekazem pocztowym do administracji „Harcerza" w Warszawie, ul. Traugutta № 2.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor: *T. Uhma.*

Druk. p. f. „LECH", Sp. z o. o., Warszawa, ul. Koszykowa № 33. Tel. 405-66.